

LĘK.

Siedząc w kawiarni, w gronie przyjaciół, omawialiśmy liczne kwestje. Zmieniaczka Leon Martinel zaznaczył, podkreślając z pewnym zadowoleniem:

— Lęk? Mówicie o nim, nie wiedząc wcale, co to jest. Natomiast ja...

Orzeczenie to dotknęło nas. Wszyscy jednocześnie zwróciliśmy uwagę Martinełowi, że i nam nie brakło sposobności do trwogi, gdy słuchaliśmy świstu pocisków i trzasku karabinów maszynowych.

— Słusznie mówicie, — zgodził się Martineł. Przysięgam wam jednak, że nigdy nie zaznałem podobnego strachu, jak miesiąc temu...

— Napadnięto cię, może? — zagadnął tem.

— Nie.

— Samochód cię najechał?

— Milczałbym, gdyby chodziło o podobny drobny wypadek — zapewnił mnie.

— A więc chodzi o autobus, tramwaj, lub lokomotywę wreszcie? — badałem dalej.

Martineł wzruszył ramionami.

— Nie, — odrzekł — doznałem tego szalonego lęku z powodu kobiety.

Uroczyste milczenie nastąpiło po tych słowach. Martineł wypił łyk vermutu, a widząc, że wszyscy gotowi są słuchać z uwagą, rozpoczął swoje opowiadanie:

„Od kilku tygodni zawarłem znajomość z uroczą kobietą. Nie spodziewając się, że bym wam zdradził jej nazwisko. Przypuścił mi, że zwała się Marta Verier...

Widywałem ją bardzo często i kochałem ją coraz więcej... Droga Marta! Kochała mnie także bardzo szczerze i niewątpliwie tworzyłbyśmy najszczęśliwszą parę na świecie, gdyby Marta nie była kobietą tak wrażliwą i skłoną do lęku.

Nie przestawała mi powtarzać, skarżąc się:

— Zobaczysz, Leonie, wszystko to skończy się tragicznie.

Śmiałem się:

— Co znowu! — tłumaczyłem jej. — Nie wiem dlaczego nabijasz sobie głowę podobnymi rzeczami, moja droga.

— Dlaczego? — mówiła, blada, złamanym głosem. — Dlatego, że mój w końcu dowię się o wszystkim, a wówczas — jestem tego pewna — zabije nas oboje.

Widywałem dość często Gastona Verrier pomieważ bywałem w tem samym towarzystwie. Wydawał mi się osobistością bez znaczenia, raczej mdłą, i nic w jego fizjonomii ani obejściu nie zdradzało człowieka gwałtownego, sangwicznego choćby, zdolnego zabić żonę i mnie z powodu podejrzenia.

Niekiedy Marta przychodziła do mnie, na dała na fotele, szepcząc:

— Leonie, jesteśmy straceni!

I wszystko dlatego, że mąż jej, rozmawiając z nią przed chwilą, przyglądał się jej z dziwnym uśmiechem. Zdarzało się także, iż zdawało się jej, że jest śledzona przez człowieka o podejrzanej powierzchowności. I człowiek ten — jak się domyślać — nie mógł być nikim innym, jak tylko detektywem na usługach Gastona Verrier. Bywało że warunki zmuszały nas do spotykania się w miejscach publicznych. I wówczas biedna Marta przechodziła mężarnie, przekonana, że na każdym kroku spotkać się może z mężem, który zabije nas na miejscu.

Nic wskórać nie mogłem ani drwinami, ani gniewem nawet. Marta nie przestawała się lękać i zatrzymywała naszą miłość złośliwymi przecuciami i niepotrzebnymi łzami. Zaczynało to rozwijać się u niej w manję, nawet w szaleństwo, wywołując przy najmniejszych oznakach niebezpieczeństwa prawdziwe halucynacje i ataki nerwowe.

Pewnego dnia, gdy spotkać się mieliśmy na jednym z przystanków tramwajowych, spóźniłem się trochę na swoje nieszczęście. Zbliżając się na oznaczone miejsce, zauważyłem zbiegowisko. Przystanawszy, ujrzałem zemdloną kobietę, którą podtrzymywał jakiś silny i dobronudny wojskowy. Kobieta tą była Marta.

Przeniesiona do apteki, wróciła tam powoli do przytomności. Odprowadzając Martę do domu, zapytałem ją:

— Co ci się stało?

— Ach! — odrzekła, zupełnie rozbita jeszcze — zdawało mi się, że spostrzegłem Gastona, przechodzącego buławem.

— Jestem pewien, żeś się pomyliła. A gdyby to nawet był on, cóż ci groziło? Co może być zdroźnego w czekaniu na tramwaj lub autobus?

Ten nadmiar zdenerwowania i brak złotej krwi zaczęły mnie niepokoić. W wypadku — możliwym zawsze — jakiegos podejrzenia ze strony Gastona Verrier i związanej z tem uwagi, Marta zamiast uśmiechu i wzruszenia ramion, zdradziłaby się pewnością wybuchem trwogi, co byłoby równoznaczne z przyznaniem się do winy.

Niepokoiło mnie to tem bardziej, że dowiedziałem się od Marty o nabyciu rewolweru przez Gastona Verrier, straszniejszego widocznie, niż się zdawało. Rzekomo pokazał broń żonie, z pewnym naciskiem za pewniając ją, że odtąd stale nosić będzie browning przy sobie. Oczywiście Marta w tych słowach dopatrywała się ukrytej groźby i przyznać muszę, że w tym poszczególnym wypadku zdanie jej wydało mi się słuszne.

Zkolei i ja zacząłem żywić przekonanie, że nasza sielanka zakończy się dramatem.

W tym czasie właśnie państwo de la Pree urządzali swoje doroczne wielkie przyjęcie, na które zostałem zaproszony wraz z setką innych osób.

Wchodząc do sali jadalnej ze stołem ustawionym w podkowie, szukałem nazwiska

swojego na małych biletach o złożonych brzegach, rozłożonych przy każdym nakryciu.

Pierwsze znajome nazwiska, na jakie się natknąłem, były: pan i pani Verrier.

— Do licha! — pomyślałem. — Marta jest tutaj. Nie trzeba, żeby mnie zobaczyła. Tymczasem, okrążywszy stół, znalazłem nareszcie kartkę z własnym nazwiskiem, umieszczoną naprzeciwko tej, przy której każdej chwili zasiąść mogła Marta, u boku męża.

Usiąść gdzie indziej? Była to rzecz nie możliwa. Uciec? Upozorować to nagła słabością? Przemknęło mi to przez umysł. Iecz już nie byłem zdolny do czynu, opano wany straszliwym lękiem, o którym wspominałem wam przed chwilą. Serce moje było rozszalałem tętnem. Czulem zimny pot, ściekający mi po plecach. Nogi moje uginały się pod mną. I dlatego zapewne usiadłem.

Schyliłem głowę, by nie zobaczyć nadejścia Marty i jej męża. Wystraszonymi oczyma spoglądałem na swój talerz z dymiącą się zupą i czekałem.

Wiedziałem bowiem dobrze, co się stanie: Marta, widząc mnie, nie zdoła powstrzymać okrzyku, może nie zapanuje nad sobą i dostanie ataku nerwowego — słowem: nieomieszka wywołać skandalu. A mąż jej — już uprzedzony — zrozumie. Wyolgnie swój browning — wyceluje...

Łyżka dygotała mi w ręce. Słyszałem hałas odsuwanych krzeseł: moje vis-a-vis zajmowali miejsca. Z czołem pochylonym nad talerzem z zupą, z zapartym oddechem czekałem jeszcze jedną minutę — najstraszniejszą w mem życiu.

Wkońcu odważyłem się unieść głowę i spojrzeć.

I wówczas zobaczyłem przed sobą Gastona Verrier z zupełnie nieznaną kobietą, czy pojmujecie? Kobieta, która nie była Marta, lecz jego dobrą przyjaciółką, przy tej sposobności wprowadzoną przez niego jako prawowitą małżonkę.

Plum. L. M.



Bebe Daniels, ulubiona artystka komediowa.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

P. Prezydent Rzplitej w Łodzi.



W dniu 25 ub. mies. był w Łodzi w charakterze półoficjalnym P. Prezydent Rzeczypospolitej, prof. Ignacy Mościcki, zaszczycając swą obecnością uroczystość poświęcenia i otwarcia największego w Polsce szpitala Okręgowego Związku Kas Chorych przy ul. Zagajnikowej. Na zdjęciu widzimy poszczególne fragmenty z pobytu Głowy Państwa w Łodzi. Fot. A. Meyer.

TEATRALJA.

Premjery warszawskie: Wyspiański, Shaw, Kiedrzyński,

Okres świąteczny przyniósł Warszawie generalną zmianę repertuaru we wszystkich teatrach, co stało się już zresztą od lat wielu uświęconym, a mile przez publiczność witanym zwyczajem. Na czoło tych prezentowanych ostatnio nowych widowisk teatralnych wybijają się bezwzględnie wystawienie na scenie Teatru Wielkiego „Legjonu“ Wyspiańskiego, w inscenizacji dyr. Chaberskiego i dekoracjach prof. Drabika. Potężne, miasące w sobie odblask wielkością ducha twórcy, dzieło, mimo swą trudność i nieprzystępność, nieodłączne zazwyczaj od natchnionego poetyckiego objawienia, ukazało się na scenie stołecznej w kształcie, przynoszącym zaszczyt teatrowi polskiemu. Krakowska inscenizacja „Legjonu“ za czasów przedwojennej dykcji Solłskiego była, zapewne, z natury rzeczy bliższa koncepcjom i myślom autorskim; inscenizacja warszawska, zachowując, o ile to tylko możliwe, całkowity pietyzm w stosunku do jednego z najdonioślejszych utworów Wyspiańskiego, poszła po linii reprezentacyjno-widowskiej okazałości, w najlepszym zresztą tych określeń sensie, zaś gra najlepszych sił aktorskich, znakomite wyćwiczenie chórów i karność biorących udział w przedstawieniu tłumów oraz pomysła słowa wspaniałość ram dekoracyjnych złożyły się na całość, godną znaczenia dzieła i imienia jego twórcy.

Z pośród długiej listy wykonawców „misterium rzymskiego“ na scenie warszawskiej na pierwszym miejscu postawić należy p. Brydzińskiego, który z poświęceniem wziął na swe barki ogromny trud „roli“ Mickiewicza i zadanie swoje, w sposób godny szczególnego uznania, z całym zapamiętaniem się i niezwykłym napięciem sił swej istoty aktorskiej, szczęśliwie wykonał. P. Jasińska (Makryna Mieczysławska), Chmieleński (Papież), Węgrzyn (Rapsod), Bednarczyk (św. Andrzej) i wszyscy niemal pozostali dali z siebie maximum inteligentnego, pełnego zapatu wysiłku, aby całość widowiska wnieść na należyty „Legjonowi“ nieprzeciętny poziom. Widowisko to posiada wszelkie dane, by wyjść do „żelaznego“ repertuaru sceny narodowej i stać się jednym z jej najpiękniejszych hołdów względem poezji ojczystej.

Do innych zupełnie dziedzin twórczości dramatycznej należy wystawiona w Teatrze Narodowym sztuka Shaw'a p. t. „Dom serc złamanych“. Jest to komedia — podobnie jak niemal wszystko, co z pod pióra Bernarda Shaw'a wychodzi — o charakterze dyskusyjno-satyrycznym i o tendencji wyraźnie moralizatorskiej; zamiarem autora, tak jak np. i w granej niedawno w Warszawie sztuce Shaw'a p. t. „Związek niedobry“, jest zobrazować i scharakteryzować materialistyczną płytkość i małowarty blichtr t. zw. wyższych sfer społeczeństwa angielskiego, zagrożonych w snobizmie i pospolitych uciechach życiowych. Ten stan moralny Anglii współczesnej zwięźle określają słowa jednej z rezonerskich postaci sztuki, kapitana Shotovera, wypowiadającego śmiało a trafne myśli autora: „Patrzę na córki, na ich życie bez sensu, przesycone snobizmem



Bohatarka filmu dźwiękowego p. n. „Rycerze miłości“, który ukaże się wkrótce na ekranie kinoteatru dźwiękowego „Grand Kino“ w Łodzi.

i sentymentalizmem. Patrzę na młode pokolenie, gardzące snobizmem, ale za to łakome tylko pieniędzy i wygody, i myślę, że byłem sto razy szczęśliwszy na mostku kajitańskim podczas burzy morskiej...“

Komedia Shaw'a cała składa się niemal wyłącznie z tego rodzaju dyskusyj i dialogów, przetykanych gęsto błyszczącą nicią oryginalnego dowcipu i paradoksalnych powiedzeń autora. Słucha się tego z zajęciem, a końcowy efekt napadu niemieckich aeroplanów na Anglię, co elektryzuje wreszcie i stawia moralnie na nogi mieszkańców „Domu złamanych serc“, sprawia głębokie wrażenie. Sztuka Shaw'a otrzymała w Narodowym doskonałą obsadę z pp. Solską-Grosserową, Broniszówną, Olą Leszczyńską, Solłskim, Różyckim i Justjanem na czele oraz wielce pomyslową i staranną reżyserję, dzięki gorliwej nad tem pracy p. L. Schillera.

Bardzo słabutką okazała się najnowsza komedia stalego dostawcy teatrów warszawskich — Stefana Kiedrzyńskiego, p. t. „Piorun z jasnego nieba“, wystawiona w Teatrze Małym. P. Kiedrzyński, ja to oddawna można było zaobserwować, posiada jako autor szczególnie upodobanie do różnych „szujowatych“ typów nietych z Warszawy ile z „Warszawki“, i bardzo chętnie posługuje się temi figurami w celach meblowania niemi swych zręcznych skądinąd i żywych komedylek. Tym razem p. Kiedrzyński wprowadza na scenę, jako spiritum moventem komediji, pewnego „dziennikarza“ ze sprze-

danego, rymstokowego świstka i — niewiadamo dlaczego — każe temu łobuzowi i szantażyście grać rolę jakby dysponującej „piorunami“ Opatrzności. Samym zaś „piorunem“ ma być pewien poczołwy zresztą wykołajeniec życiowy, uprawiający aktualnie pod maską dr. Teofiliego wątpliwy proceder „profesora czarnej magji“. Dla celów zwykłego i ordynarnego zysku ów dziennikarz zamierza wykorzystać „profesora“; ujawnienie przezeń pewnych fragmentów z przeszłości uczyniłoby z „baronowej“ i narzeczonej bankiera pospolitą awanturnicę, a i córeczce jej utrudniłoby nie słychanie kariery życiową. Ale w szarłatamie, który jest — a raczej był — mężem i ojcem tych kobiet, budzą się jakieś resztki uczciwości i rodzinnego sentymentu; nie daje się użyć „dziennikarzowi“ za narzędzie szantażu, zaś słowom samego expressowatego „redaktora“ bankier nie daje wiary. Nie najgorszy ten komedijowy pomysł stał się jednak w wykonaniu autorskiem dość nudną i pobieżnie tylko naszkicowaną historyjką. Dobra gra pp. Kamińskiej, Modzelewskiej, Grabowskiego, Stanisławskiego, Fritschego i Daczyńskiego lata w dużym stopniu dziury i braki komediji, wątpliwe jest jednak, czy zdoła jej zapewnić trwalsze powodzenie. Choć — kto wie? P. Kiedrzyński zna publiczność warszawską, a ta, jak dotychczas, obdarza go niezmienną sympatją.

Delta.



W dniu 27 ub. miesiąca w kościele św. Wojciecha w Chojnach odbył się doroczny odpust oraz wyświęcenie na kapłanów. Na zdjęciu J. E. ks. biskup dr. W. Tymieniecki w otoczeniu duchowieństwa na stopniach kościoła św. Wojciecha



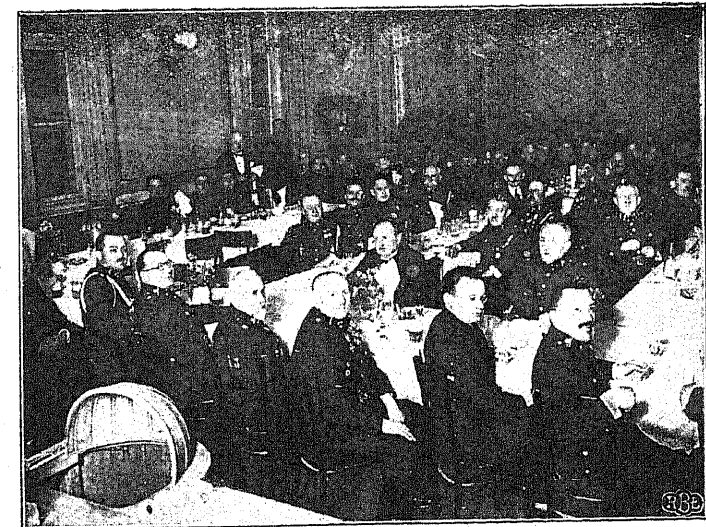
Straż Ogniowa Ochotnicza w Łodzi święciła uroczyste niezwykły jubileusz pracy na polu strażactwa jednego ze swych najstarszych członków, naczelnika I oddziału toporników, p. Wilhelma Pfeifra, który pozostaje na służbie ŁSOO od lat 50. Na zdjęciach od strony lewej grupa starszyny strażackiej z jubilatem pośrodku, na prawo zaś wspólny obiad.



Przedstawiciele zarządu Centralnego Związku Właścicieli Autobusów R. P. okręgu województwa łódzkiego z prezesem p. Kopciem i wiceprezesem p. D. Sztroszajnem na czele.



Liczny zespół absolwentek Miejskiego Seminarjum Nauczycielskiego Żeńskiego w Łodzi z ciałem pedagogicznym na czele na zjeździe w dniu 22 ub. m.



Conrad Veidt w filmie p. n. „Truciel“ wyświetlanym w ub. tygodniu w kinoteatrze „Palace“ w Łodzi.



Greta Garbo
w
życiu prywatnym.

Wampirzyca ekranu, złotowłosa skandynawka niemniej interesująca jest również w życiu prywatnym, spędzając czas, jak widzimy, na koniu, na plaży, na skałe i na jachcie.



W ubiegłym tygodniu odbył się w Łodzi zjazd delegatów kół M. W. Łódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej. Na zdjęciach powyższych widzimy liczne grupy uczestników zjazdu w strojach ludowych z prezesem związku p. J. Klimkiem, Judaszem i Dzieńśiewiczem oraz sekretarzem związku B. Ściborkiem na czele.



Moment z meczu piłkarskiego ŁKS — „Wisła” — Kraków, rozegranego w Łodzi na boisku Ł. K. S.



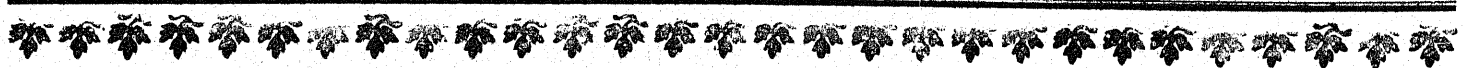
Sala uczestników kursu komendantów oddziału Związku Strzeleckiego.

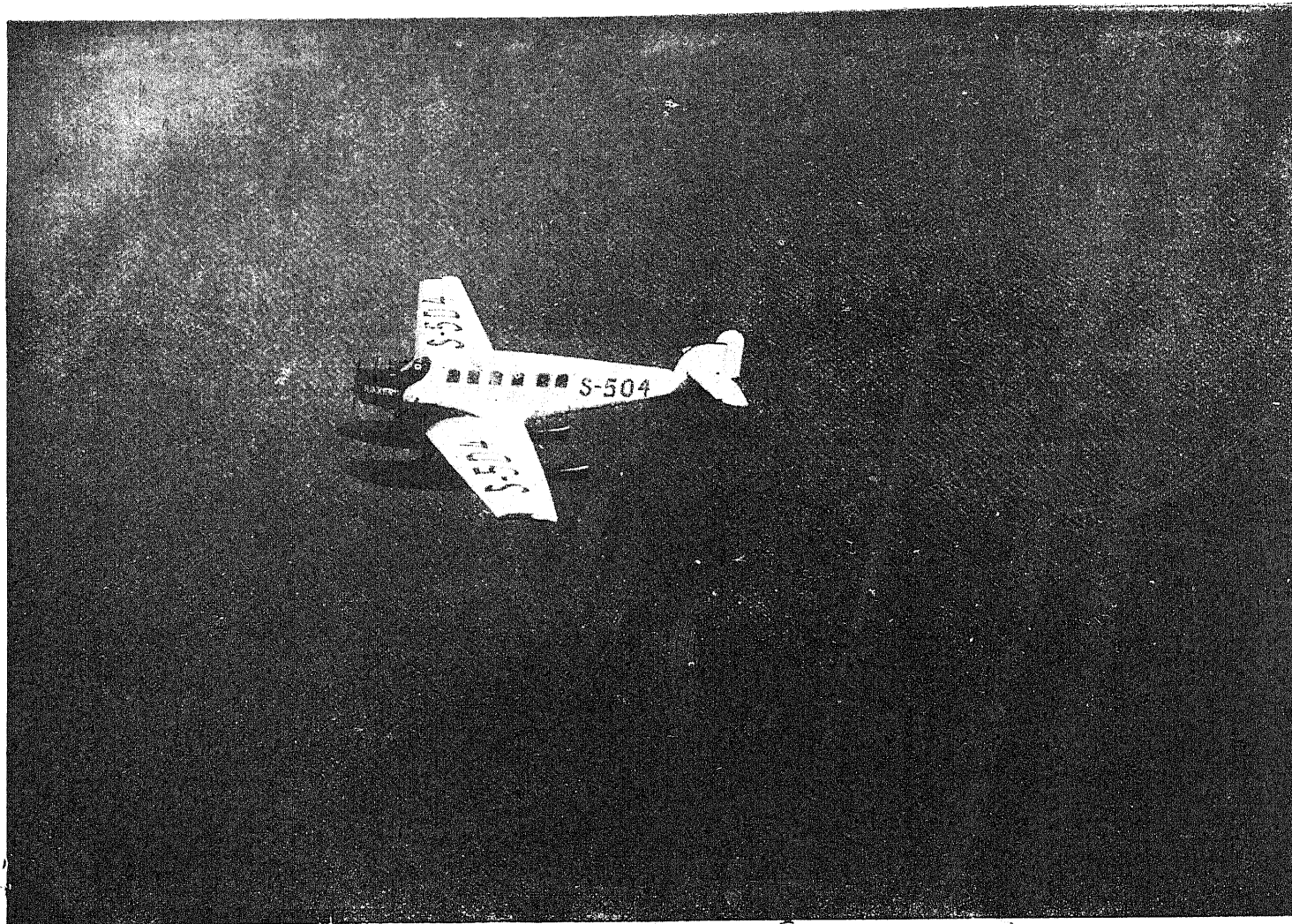


Piłka przed bramką Czerwonych na meczu Ł. K. S. — „Wisła”.



Dyrekcja kinoteatru „Grand Kino” w Łodzi wyświetlać będzie wkrótce fascynujący, pełen ciekawych momentów film p. n. „Rycerze miłostek”. Jest to film dźwiękowy, zaliczony do szeregu obrazów najciekawszych, obfitujących w liczne sceny frapujące, doprowadzających napięcie uwagi widza do maksimum.





Nad sinimi falami Bałtyku płyną śpiewne i nieprzerwane fale jazgotliwej muzyki śmigieł polskich eskadr samolotowych. Unoszą się stalowe ptaki w sferze oceanu powietrznego, czuwając i strzegąc całości granic Rzeczypospolitej. Na zdjęciu powyższym widzimy szybujący samolot polski nad morzem Bałtykiem, patrolujący wybrzeże morskie.



Fragment z ciekawej i zabawnej komedji filmowej p. n. „Tylko dla kobiet”.



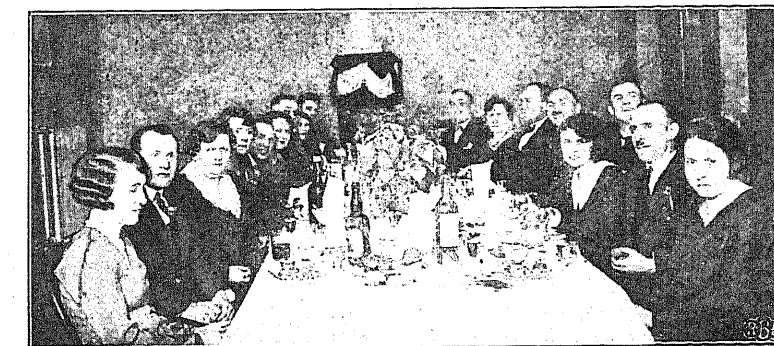
Mieczysław Frenkiel, mistrz sceny polskiej, nestor aktorstwa polskiego.



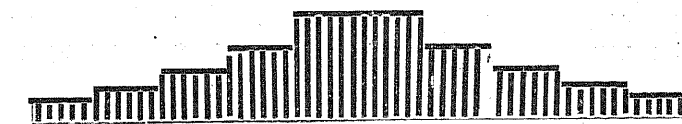
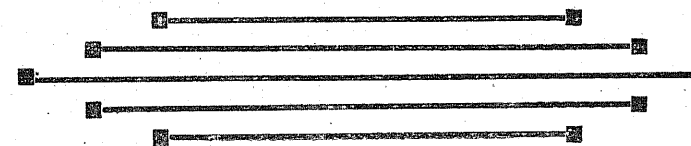
Fianistka-wirtuoz p. Marija Mosiewiczówna, znakomita koncertantka i pedagog, wyróżniająca się talentem i techniką gry utworów Chopina i Liszta, przeniosła się z Warszawy do Łodzi i prowadzi studia pedagogiczne.



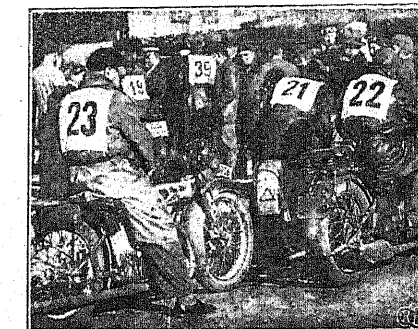
W Łodzi odbył się w dniu 27 b. m. zjazd członków Polskiej Organizacji Wojskowej. W obradach wzięło udział około 500 osób, reprezentujących wszystkie miasta województwa łódzkiego. Na zdjęciu uczestnicy zjazdu z prezydium na czele.



Tradycyjnym zwyczajem, Związek Pracowników Kasy Chorych urządził „Jajko” wielkanocne. Powyżej uczestnicy biśiady.



Związek Strzelecki w Łodzi zorganizował dla swych członków specjalny kurs komendantów oddziałów strzeleckich. Na zdjęciu widzimy od strony lewej uczestników kursu z przedstawicielami władz wojskowych na czele, na prawo zaś salę wykładów z kursistami.



Ruchliwe Towarzystwo Sportowe „Unlon” w Łodzi urządziło w ubiegłym tygodniu raid motocyklowy dookoła Łodzi. Powyżej od strony lewej grupa uczestników raidu, na prawo moment na starcie.

Powrót.

— Ależ ojcie! Masz wobec tego dolary! — zawołał z ożywieniem młodzieniaszek. — Dolary, tatusiu!

Był to pierwszy krzyk od serca, który pułkownik usłyszał z ust syna po swoim powrocie z niewoli rosyjskiej.

Bardzo przykładowie dał się chłopiec uścisnąć ojcu na przywitaniu; grzecznie i uważnie słuchał opowiadań jego o przeżyciach na obczyźnie, odpowiadając rzeczowo na stawiane pytania. Bitwy, dowódcy wojsk, wydarzenia wojenne; wszystko to było młodemu gentleman'owi znane i miał o wypadkach własny, wyrobiony sąd.

Pułkownik, mając żywo w pamięci chłopa paczka wierzgającego jeszcze jak żebak nóżkami, lub zaciskającego piąstki i krzywiącego buzię do płaczu czy krzyku, nie mógł pojąć, że w ciągu kilkumiesięcia lat zaledwie wyrosło zeń to książętko a la van Dyck, pełne taktu, zamknięte w sobie, opanowane i tak dobrze ułożone, że wprawiało ojca swego w zakłopotanie. Matka jego, jak widać, pułkownika przemiewierzała żona, spełniła jednak swój obowiązek względem ich dziecka! Nie zaniedbała jego wychowania! Chłopiec, pozornie, nie ucierpiał z powodu rozstania rodziców... Tyłko ta przedwczesna powaga! Ten obiektywizm dojrzalego wieku!... Ten brak życia!!! To też pułkownik odetchnął z ulgą, kiedy na wiadomość o powrocie ojca przez Amerykę i przypuszczalnym posiadaniu dolarów chłopiec ożywił się. Chwała Bogu! Jest przecież zdolny do jakichkolwiek porywów! Dobrego wrażliwości nie zepsuła nawet zdumiewająca znajomość rzeczy, z jaką syn rozprawiał o krzywych liniach walutowych ostatnich lat.

Powoli, rozmowa o sprawach ogólnych zeszała na tory osobiste i syn napomknął o matce, dodając, nawiasem, że wszyscy niemal jego koledzy mają ojcymów; taki jest bowiem prąd czasu obecnie... o tempie przyspieszonym.

Pułkownik zdumiał się nad bezstronnością i jasnością swego syna na tak skomplikowane zjawisko życia, że żony nie chcą teraz czekać na śmierć pierwszego męża. Tak! To prawda! Każda epoka ma sobie właściwe tętno!...

— Gdybym miał być swego syna za ojca — myślał pułkownik, słuchając wywodów chłopca — niejedna gorycz ominałaby mnie w życiu. Ale my, wieńczycy starej daty, byliśmy prawie wszyscy tacy sentymentalni!!!

W rodzinie pułkownika Dangla panował z pokolenia w pokolenie przechodzący zwyczaj, że najstarszy obejmował słynny od lat interes kapeluszy na Marjahill, młodsi zaś synowie szli drogą wojskową lub urzędniczą, przyczem każde z dzieci miało zapewniony swój udział w zyskach firmy, co dawało możliwość pułkownikowi łącznie z rządową pensją żyć odtąd bez troski z rozpaczą swą jedynie.

Jakże nie miał rozpaczyc? Pełen ufno-

ści poszedł na tę wojnę. Zawsze przecież cieszył się na myśl o wojnie; pragnął jej i ani inne oblicze, jakie mu zbliża pokazała ani okropności niewoli, ani niebezpieczeństwa jego bogatej w przygody ucieczki do Chin nie zdołały rozstróić jego mocnych nerwów, aż do chwili, kiedy ojczyzna jego padła w gruzy.

Skoro nie ma już Austrii, rzecz prosta i z i wszystko inne diabli biorą: miłość, wierność, przysięgę małżeńską! Jakże to ostać się mogła, kiedy ojczyzna — ostoja narodu — znikła z powierzchni świata?

W tę przepaść, w którą Austria się zapadła runęło za nią wszystko! Wszystko!...

Jakież było zdumienie pułkownika, gdy wróciwszy do Wiednia, zdał sobie sprawę, że jego mieszkańcy żyją jak żyli, weseli, zadowoleni, jakgdyby nie wiedzieli, że Austrii już nie ma!... Syn pułkownika wyrósł i żył w tej samej atmosferze.

Pod wpływem takich myśli czasu oczywiście, rozpacz pułkownika jęła mu powoli przebiekać przez palce. Interes kapeluszy szedł świetnie, dochody rosły z każdym kwartałem. a Wiedeń uśmiechał się swym wdzięcznym uśmiechem po dawnemu.

Z początku wymyślał na to, że tak lekko wzięto rozbrat z Austrią. Później wszakże doszedł do przekonania, iż oszałamiające piękno Wiednia właśnie polega na pogodnym poddawaniu się każdemu losowi.

W tem jego siła, że wszystko wchłania w siebie, przerabiając, na nową odżywcza krew. Wiedeń jest mocniejszy od jego mieszkańców, których cierpienie zarówno jak i radość służy za mawóz dla jego wiecznie nowego piękna.

Gdyby przed wiekami Sobieski nie był nadszedł w porę i Wiedeń przypadłby Turcji w udziale, przetrwałby Turków jak Hiszpanów, Italczyków, Słowian i Niemców na Wiedeńczyków. Jego dobremu żołątkowi nie się nie przeciwstawi.

Pułkownik odczuwał to na sobie: nie chciał za nic rozstać się ze swoją rozpa-

czą; nie miał przecież nic prócz niej na świecie, żył nią wyłącznie, a jednak nie mógł zataić przed sobą, że ta jego rozpacz z każdym dniem rozstępniała się, przesiąkając wiedeńskim blaskiem.

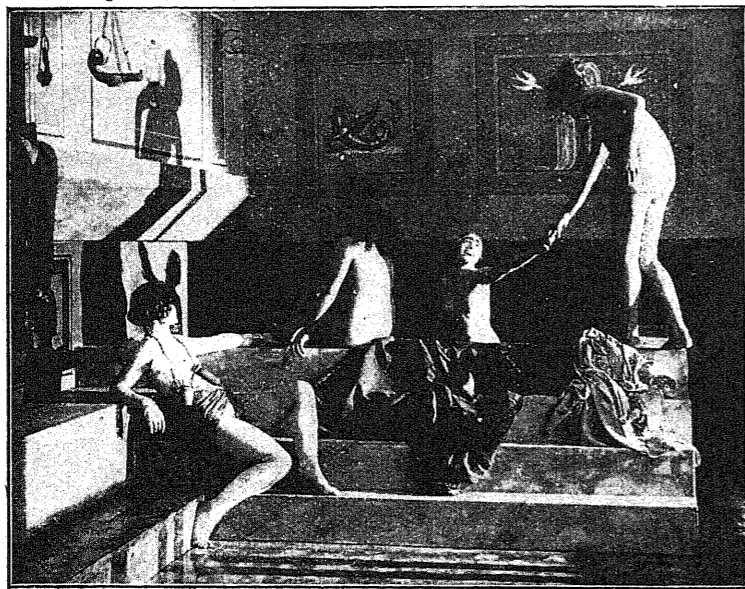
Kiedy w takim „wiedeńskim“ nastroju przechadzał się po Ringstrasse, jakiegoś auto, wystrzeliwszy z bocznej ulicy i o mały włos nie przejechawszy go, stanęło nagle przed nim i coś wyskoczyło z pojazdu. Ani się opamiętał gdy trzymał w objęciach kobietę: swoją żonę... rozwiedzioną z nim żonę!

Nie posiadając się z radości pomyślała i prosiła, aż wsiadł z nią do auta, które potoczyło się po głównej alei, podczas gdy była pani pułkownikowa rozpromieniona i szczęśliwa powiadała mu, że oddawna już pragnęła napisać do niego. wytlumaczyć jak właściwie do tego doszło, że została żoną innego, ale na piśmie wszystko wygląda inaczej... Nie miała nigdy czasu zresztą. A przecież tęsknota tyłko, nieprzewyciężona tęsknota za nim doprowadziła do tego, co się stało!... Tęsknota, którą haniebnie wyzyskał obecny jej mąż!... Uwodził i nikczemny... Ale ona myślała zawsze o nim! Nawet wtedy, kiedy była w objęciach tamtego, jego postać majaczyła przed nią!...

Pocałował ją wreszcie na pożegnanie i obiecał schadzki, dała mu niedwuznacznie do zrozumienia, że zdolna jest do wszystkiego; do tego nawet, aby wyjść za niego znowu zamąż powtórnie!

Do pioruna! Czyż można wystawić lepsze świadectwo mężczyźnie? W objęciach innego on, pułkownik majaczył jej w oczach. Jakkolwiek znawca kobiet, bijąc się w piersi, przyznał, że nie zbadał jeszcze do głębi psychiki kobiecej! I kto wie? Kto wie, czy nie dobrze byłoby powtórnie stanąć z ex-żoną do ołtarza? Ach ten Wiedeń! Nieobliczalny! Pełen niespodzianek! Poprzez wszelkie eksperymenty zawsze usniechnięty, zwycięski, nieśmiertelny Wiedeń!

Tłum. Jotsaw.



Carmine Gallone przystąpił do realizacji filmu z życia starożytnego Rzymu.



Jubileusz Związku Majstrów Fabrycznych.



W dniu 4 maja r. b. Związek Majstrów Fabrycznych w Łodzi święcił podniośle 40-lecie swego istnienia. Poważna ta placówka, posiadająca za sobą piękną i chwalebą przeszłość, po okresach ciężkich rozwija się dzisiaj swobodnie i wszechstronnie. Udział w święcie jubileuszowym wzięły liczne delegacje miejscowych organizacji społecznych i korporacji. Wiodły to zresztą na zdjęciu powyższym. Las sztandarów u stopni kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej świadczą o populiarności i uznaniu, jakiem się cieszy żywotny Związek Majstrów Fabrycznych w Łodzi, posiadający swój własny gmach związkowy przy ul. Żeromskiego.

Fot. A. Meyer, tel. 108-81.